

Zapisywane z doskoku

HANNA POPOWSKA-TABORSKA

Zapisywane z doskoku



SEDNO
Wydawnictwo
Akademickie

Zdjęcie na okładce i zdjęcia w książce
Archiwum rodzinne Autorki

Wydawca
Andrzej Chrzanowski

Redakcja językowa, korekty, przypisy redakcyjne oraz indeks
Izabella Sariusz-Skąpska

Redakcja techniczna
Danuta Przymanowska-Boniuk

Projekt okładki, stron tytułowych i opracowanie typograficzne
Wojciech Stukonis

Copyright © by Hanna Taborska
Copyright © for this edition by Wydawnictwo Akademickie SEDNO
Published by arrangement with Beata Stasińska Literary Agency
Warszawa 2022

Wszelkie prawa zastrzeżone
Kopiowanie, przedrukowywanie i rozpowszechnianie w całości lub we fragmentach
jakąkolwiek techniką bez pisemnej zgody wydawcy zabronione

ISBN 9 978-83-7963-138-4
ISBN 978-83-7963-139-1 (e-book)

Wydawnictwo Akademickie SEDNO Spółka z o.o.
00-696 Warszawa
ul. J. Pankiewicza 3
www.wydawnictwosedno.pl
info@wydawnictwosedno.pl

Spis treści

Słowo wstępne	7
CZĘŚĆ PIERWSZA	9
Rodzina Grabowskich	11
Moja Matka	26
Rodzina Popowskich	31
Raszyńska 58 i szkoła Wandy Szachtmajerowej	40
Bianka Perlmutter	51
Wakacje dzieciństwa	58
Wrzesień 1939	63
W okupacyjnej Warszawie	68
Tułaczka	110
Powrót	132
Łódź	139
Studia	163
Powrót do Warszawy i praca w PIW-ie	200
CZĘŚĆ DRUGA	209
Warszawa. W oczekiwaniu przemian	211
Początki pracy w Polskiej Akademii Nauk	225
Nasz dom	236
Marzec 1968 i era gierkowska	252
Nadzieja Sierpnia 1980	270
Stan wojenny	277
CZĘŚĆ TRZECIA	303
Podsumowania i pożegnania na tle historii	
opisywanej tylko we fragmentach	305
Post scriptum	368
Indeks osób	369

Słowo wstępne

W roku 1988 moja córka Agnieszka wyjechała wraz z mężem do Stanów Zjednoczonych. Intuicja matczyna mówiła mi, że ich pobyt poza krajem trwać będzie bardzo długo. Czasy były niełatwe, a łączność z tak zwanym „Zachodem” utrudniona. Nie mogło jeszcze być przecież mowy o jakichkolwiek kontaktach za pomocą komputera, rozmowy telefoniczne były drogie, a otrzymanie połączenia telefonicznego skomplikowane i czasochłonne. Pozostawała jedynie korespondencja. Pisywaliśmy więc do siebie długie listy, mając jednak na względzie fakt, że mogą one być (i zapewne były) poddawane cenzurze. Odbieranie korespondencji przychodzącej z Zachodu również było niełatwe: uzyskiwało się ją wyłącznie za okazaniem dowodu osobistego w naszym wypadku na dość odległej poczcie.

Jako remedium dla siebie, dręczonej tęsknotą za „utraconym” dzieckiem, przede wszystkim jednak dla Agnieszki zaczęłam robić notatki, w których zamierzałam przekazać jej informacje o rodzinie i o moim życiu w otoku nieustannie zmieniającej się Historii. Kierowałam się przeświadczeniem, że zazwyczaj dopiero w drugiej połowie życia zaczynamy bardziej interesować się stosunkowo niedawną przeszłością i ludźmi, którzy otaczali nas w dzieciństwie i we wczesnej młodości. Często okazuje się wówczas, że wiele z pytań, jakie zamierzaliśmy im zadać, pozostać już musi bez odpowiedzi.

Notatki, którym nadałam tytuł *Zapisywane z doskoku*, opatrzyłam dedykacją: „Pisane dla mojej córki, Agnieszki, gdy wyjechała”,

i sporządzałam je z początku wyłącznie z myślą o niej i tylko dla niej. Miały niestety charakter dość chaotyczny i pisane były spontanicznie, cechowała je zatem znaczna dowolność w doborze tematów i duża emocjonalność, czasami również ostra krytyka niektórych postaci i wydarzeń. Będąc jednym z ostatnich ogniw mojej do niedawna licznej rodziny, chciałam też przekazać Agnieszce jak najwięcej danych mnie już tylko wiadomych o dziejach poszczególnych osób.

Obecnie, przygotowując tekst do druku, starałam się usunąć z niego partie zbyt silnie obciążone emocjonalnie oraz opisujące fakty mało interesujące przyszłego Czytelnika. Starałam się też zapanować nad chronologią opisywanych zdarzeń. Wiem, że mimo usilnych starań to ostatnie nie wszędzie mi się udało.

Redaktorze tej książki, Pani Izabelli Sariusz-Skąpskiej, winna jestem słowa wdzięczności za bardzo istotne propozycje dotyczące układu poszczególnych części, ponadto za opracowanie przypisów, sporządzenie indeksu nazwisk i całą żmudną pracę nad tekstem. Serdecznie również dziękuję Recenzentom tych wspomnień: Pani Profesor Barbarze Szackiej i Panu Profesorowi Tadeuszowi Cegielskiemu.

Jak zapowiada tytuł, poniższe zapiski nie zakładają pełnej relacji z wielu opisywanych wydarzeń, w których zdarzyło mi się uczestniczyć w ciągu długiego życia. Przepraszam więc te wszystkie osoby, często w moim życiu istotne, o których w niniejszym tekście nie wspomniałam. Równie serdecznie proszę o przebaczenie tych wszystkich, którzy się w nim czasem dość przypadkowo znaleźli.

Za sugestie dotyczące uporządkowania układu tych zapisków, a także za cenne porady wydawnicze wdzięczna jestem Pani Beacie Stasińskiej. Memu Zięciowi, Marcinowi Giżyckiemu, serdecznie dziękuję za niełatwą pracę nad umieszczonym w tej książce bogatym materiałem fotograficznym. Szczególne podziękowanie składam ponadto Pani Małgorzacie Zakrzewskiej.

CZĘŚĆ PIERWSZA

Rodzina Grabowskich

Już od kilku lat przyjaźniłam się z językoznawcą i sławistą Leszkiem Moszyńskim¹, gdy dnia pewnego odkryliśmy, że w naszych rodzinach żyje ta sama opowieść: w roku 1846 i jego, i moja prababka jako małe dziewczynki uciekały wraz z rodziną, w chłopskim przebraniu, wozem, z Dębicy do Lublina po ostrzeżeniu przez miejscowych chłopów o nadchodzącym niebezpieczeństwie. Wydobyłam z przeszłości kilka nazwisk zapamiętanych z dzieciństwa, niektóre znaliśmy oboje. W pamiętniku matki Leszka, pisanym przed pięćdziesięciu laty, powtarzały się one również. I tak oto w roku 1984 odnaleźliśmy bliską nić pokrewieństwa sprzed ponad stu lat: nasze wspólne prababki, Leokadię i Julię, uratowane z rzezi galicyjskiej. Zaczynam swoją opowieść od tego wydarzenia, mówi ono bowiem o faktach przypadkowo wydobytych z mroków pamięci, na które (w sposób niepełny i przypadkowy) składa się przecież historia każdego z nas.

Pisałam wówczas w liście do Leszka:

Córka Julii, a moja babka Stefania, zginęła w Powstaniu Warszawskim, mając 77 lat. Nie zachowały się po niej żadne dokumenty, ale dobrze pamiętam,

¹ Leszek Moszyński (1928–2006), językoznawca, sławista, profesor Uniwersytetu Gdańskiego, badacz gramatyki historycznej i wierzeń Słowian. Zob. H. Popowska-Taborska, *Profesor Leszek Moszyński (1928–2006)*, „Studia z Filologii Polskiej i Słowiańskiej” 2006, nr 41 (przypis redakcji).

jak jeszcze w czasie Powstania mówiła, że „te dwie siekierki” (cyfra 77) na pewno ją zabiją [...].

Nie wiem, kiedy moja babka opuściła Lublin, lecz za mąż za Juliana Grabowskiego, studenta medycyny, wyszła już w Warszawie, w kościele św. Barbary (o czym często w swych opowiadaniach wspominała). Dziadek mój w roku 1896 skazany został na 10 lat zesłania i babka moja pojechała z nim na zesłanie do Ust'-Sysolska, a potem w Wołogdzie urodziła dzieci, z których najstarsza była moja Matka, Maria. Babcia Stefania mieszkała z nami od zarania mego życia. Z jej to opowiadań pamiętam wspomnianą przez Ciebie Ciocię Wandzię Radomyską, zaś u znanej Ci z dzieciństwa babci Klimci Makowskiej byłam raz jeden we wczesnym dzieciństwie. Samej babci Klimci nie pamiętam, lecz zapadły mi w pamięć jej koty. Wlazłam po jednego z nich pod łóżko i strasznie się pobrudziłam i Mama usiłowała mnie doczyścić w wielkiej starej kuchni. Babcia Klimcia mieszkała chyba w tym czasie z synem Zygmuntem. Jej drugi syn, rzeźbiarz Czesław Makowski, zmarł w czasie pierwszej wojny (lub bezpośrednio po niej) [w rzeczywistości w roku 1921], zarażony tyfem przez polskich uchodźców z Rosji, których przyjął do siebie do domu. Opowieść o tej śmierci zrobiła na mnie duże wrażenie, gdyż w ciągu paru dni umarł na tyfus i on, i jego syn – uczeń gimnazjalny, a wraz z nimi – z rozpacz – ich pies, biały szpic (tak właśnie opowiadała mi babcia). Grobowiec Czesława Makowskiego i jego syna, bardzo piękny, ale też bardzo zniszczony, jest jeszcze na Starych Powązkach. Tam też jest wiele grobów z medalionami jego roboty. My mamy teraz tylko jeden taki medalion (Juliusza Słowackiego), który kiedyś w Lublinie kupił dla mnie Romek. Ale w warszawskim pokoju mojej babki było tych medalionów bardzo wiele, a wśród nich również medalion mego dziadka, Juliana. Wszystko oczywiście zginęło w Powstaniu. [...] Mam dziś po babci tylko okulary w drucianej oprawie i dwie fotografie z ocalałych „pozawarszawskich” albumów. No, i te trochę wspomnień, które Ci tu przekazuję.

Gdy w czerwcu 1987 roku odbyło się w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim spotkanie papieża Jana Pawła II z pracownikami nauki,



Julian Grabowski
jako student Uniwersytetu Warszawskiego,
1887

Leszek Moszyński pokazał mi na lubelskim cmentarzu grób Zygmunta Dębickiego, naszego wspólnego prapradziadka.

O dziadku moim, Julianie Grabowskim, przeczytać można w *Polskim Słowniku Biograficznym* co następuje:

Grabowski Julian, pseud. „Jules”, „Żul” (1867–1926) dr medycyny, syn Wiktoryna Antoniego Grabowskiego i Emilii Julii z Wolskich. Ur. 23. IV. 1867 r. w Warszawie. Gimnazjum ukończył w Suwałkach w 1884 r. [...]. Jako student

medycyny Uniwersytetu Warszawskiego był jednym z czołowych działaczy ruchu niepodległościowego, członkiem założonego przez E. Abramowskiego Zjednoczenia Robotniczego, a następnie, od 1893 r. członkiem Polskiej Partii Socjalistycznej. [...] W Centralnym Komitecie Robotniczym reprezentował kierunek narodowy, którego zasadniczą tezą było: „przez niepodległość do socjalizmu”. [...] Wiosną 1894 r. wszedł – obok J. Strożeckiego, W. Nakęskiego i J. Piłsudskiego – do pierwszego komitetu redakcyjnego „Robotnika”. Równocześnie pracował w redakcji tygodnika „Głos”.

Aresztowany po raz pierwszy w 1890 r. za udział w obchodzie 60-ej rocznicy Powstania Listopadowego, osadzony w X Pawilonie Cytadeli Warszawskiej, zwolniony po 10 miesiącach, po raz drugi aresztowany został w nocy z 29/30 sierpnia 1894 r. wraz z szeregiem innych działaczy PPS i więziony w X Pawilonie Cytadeli Warszawskiej do 1896 r. Skazany administracyjnie na 10 lat zesłania do Ust'-Sysolska, gdzie pracował jako felczer w miejscowym szpitalu. W 1896 r. uzyskał zezwolenie na zdanie egzaminów dyplomowych w Kazaniu, po czym został osiedlony w Wołogdzie, gdzie pracował jako lekarz w szpitalu gubernialnym. Po odbyciu zesłania w 1905 r. [...] osiedlił się w Łodzi [...]. W 1910 r. w czasie dokonywania operacji, skaleczony w palec, mimo świadomości grożącego mu niebezpieczeństwa, operacji nie przerwał, w wyniku czego stracił prawą rękę na skutek zakażenia krwi. [...]. Zmarł 14 lipca 1926 r. w Warszawie i tu pochowany. Odznaczony Krzyżem Niepodległości, miał dwie córki i trzech synów.

Owe dwie córki to Maria (moja Matka) i jej młodsza siostra Zofia Grabowska (1902–1990), która była znaną w okresie międzywojennym aktorką teatralną i filmową (występującą w Wilnie, Poznaniu i Warszawie), a w moich dziecięcych wspomnieniach pozostała jako „ciocia Zosia śliczna”. W czasie jej młodzieńczych występów w Wilnie mieszkała z nią w charakterze tak zwanej „przyzwoitki” (tak, tak, takie to były czasy!) jej starsza siostra – moja Mama, Maria Grabowska.



Zofia Grabowska, aktorka,
Wilno 1925

Z pobytu w Ust'-Sysolsku babcia Stefania przekazała mi dwie historie. Jedna była o łóżku, które sami musieli sobie zbijać z desek i które budziło żywe zainteresowanie miejscowej ludności (Zirian – tak chyba się nazywali) przybywających z okolicy, aby to łóżko obejrzyć. Druga opowiadała o kobiecie, która poraniona w lesie przez dziką zebrała wraz ze ściółką wyprute wnętrzności w fartuch, mąż przywiózł ją na wozie do mego dziadka-felczera, a ten wypłukał wszystko w roztworze z lizolem i zeszył z powrotem. Podobno poraniona kobieta szybko powróciła do zdrowia.



Zofia i Maria Grabowskie
z aktorem i reżyserem Karolem Wyrwicz-Wichrowskim,
Wilno 1925

O Wołodzie też wiem niewiele, ale już głównie z relacji mojej Matki. Mieszkali w drewnianym domu, który podczas wielkich mrozów wietrzono, wyciągając umieszczony pod sufitem drewniany czop. Wszystkie okna opatrzone były na stałe i w zimie nieotwierane. Zapamiętałam też historię jakiejś Wielkanocy, gdy Matka moja jako najstarsza musiała wyjść do przybyłego z życzeniami miejscowego rosyjskiego notabla. Dziadka w domu nie było, a babka do Rosjanina wyjść nie chciała. Babka moja wślawiła się też tym, że – pytana

o *otczestwo* – odrzekła niefrasobliwie: „*pust’ budet Ivanovna*” i długo była tak przez Rosjan nazywana, choć ojciec jej nosił imię Gustaw.

Lubiłam też historię wcześniejszą, jeszcze z czasów warszawskich, kiedy to dziadek wybierał się na wieś z walizką pełną bibuły. Tę stojącą w przedpokoju walizkę przechwycił szpicel, który otworzył drzwi kluczem zabranym dozorczy. Babka była sama w domu i na zapytanie policjanta „*Czto eto takoje?*” odpowiedziała z miejsca: „Nie wiem, to przecież pan ze sobą przyniósł”. Trzymała się tej relacji do końca śledztwa, co miało jakoby wpłynąć na mniejszy wyrok (dobre, stare czasy!).

Dzieci Grabowskich miały w Wołogdzie miejscowe niańki, poznawały więc jednocześnie oba języki, ale w domu wolno było mówić tylko po polsku. Gdy Matka moja konała w 1969 roku w warszawskim szpitalu i traciła przytomność, owo dzieciństwo dało znać o sobie. Z najgłębszych warstw świadomości wypłynęły stare rosyjskie słowa, widać przed polskimi za rosyjską niańką tam zakodowane. Bardzo ją męczyło, gdy nie mogła znaleźć niektórych ich polskich odpowiedników. Poza tym o wołogodzkich czasach wiem niewiele. Wyrzucam dziś sobie, że tak mało się wywiedziałam. A zagadnięty o wspomnienia już po śmierci Mamy jej młodszy brat powiedział mi tylko: „Moja droga, byłem wtedy głupim smarkaczem i pamiętam głównie kopanie piłki”. Między innymi właśnie dlatego piszę to wszystko, aby z lat późniejszych zostało nieco więcej niż owo „kopanie piłki”.

Dziadek mój umarł w 1926 roku na pierwszy zawał, który zdarzył mu się po tym, gdy doganiał tramwaj 14 lipca. Dzień był zapewne gorący, a Julian Grabowski dostatecznie już zmęczony życiem. Mama opowiadała mi o jakimś spotkaniu mego dziadka z Marszałkiem Piłsudskim w Druskiennikach. Żałowała, że wołała wówczas tańczyć niż być świadkiem tej rozmowy.

Przy śmierci mojego dziadka był mój Ojciec, młody lekarz pediatrii, który usiłował go ratować. Na Cmentarzu Powązkowskim przy



Wiktoryn Grabowski, mój pradziadek,
koniec wieku XIX

kwaterze 96 jest grób Juliana Grabowskiego. Grobowiec zbudowali Marcin i Teresa Grabowscy w 1846 – jak się zdaje dla swych licznych dzieci, które umierały im wkrótce po urodzeniu. W grobie tym leży również mój pradziadek, Wiktoryn Grabowski – „Marymontczyk” (co oznaczało: absolwent Szkoły Rolniczej na Marymoncie).

To do jego domu (położonego wówczas gdzieś w okolicy Suwałk) przysyłano „po polskość” z Wologdy moją Matkę i jej rodzeństwo. Julian Grabowski, syn Wiktoryna, był najstarszy z rodzeństwa. Prócz tego byli jeszcze trzech bracia: Władysław, Wiktor i ten, którego



Zofia Grabowska, nauczycielka,
Łódź, wczesne lata pięćdziesiąte XX wieku

imienia nie znałam chyba nigdy. Był również związany z Polską Partią Socjalistyczną i partia wysłała go do Ameryki, gdy brat został aresztowany. Trzy siostry mieszkały w Łodzi. Zofia była nauczycielką matematyki, Jadwiga – młodo owdowiała – mieszkała razem z Zofią. W sąsiednim mieszkaniu w tym samym domu mieszkali Braunowie (Maria z mężem Stanisławem). Braun chyba jako jedyny w rodzinie miał prawicowe zapatrywania, czym doprowadzał do pasji stryjka Wiktora, brata Juliana. Od dzieciństwa pamiętam wściekle dyskusje między nimi na wszystkie możliwe tematy. Umarli obaj w latach

pięćdziesiątych ubiegłego wieku – a więc trudnych jak mało które – każdy zgorzkniał na swój sposób.

Życie trzech sióstr wyraźnie uzależnione było od najstarszej – na pewno najinteligentniejszej i pełnej szalonej energii. To Zofia zdobywała w cudowne sposoby widzenia z bratem, gdy siedział w warszawskiej Cytadeli, ona też czuła się odpowiedzialna za siostry.

Jadwiga była cicha, uprawiała teozofię i wierzyła, że jest pod opieką młodo zmarłego męża. Maria (kiedyś ponoć bardzo dowcipna) umiała „robić panią Hrabską”, co było ulubioną zabawą mego dzieciństwa. Ostatecznie nie wiem nawet, czy owa „pani Hrabaska” istniała kiedykolwiek. Ciocia Mania odtwarzała ją jako starszą damę i (jak mi się dziś zdaje) wplatała w te monologi mnóstwo ciekawych regionalizmów kresowych. Gdy odwiedziłam ją po raz ostatni w Łodzi (żyła najdłużej), wzięła mnie za moją babkę i zwracała się do mnie *per* „moja kochana Stefciu”. Nie pomagały wyjaśnienia, powiedziała mi krótko i kategorycznie: „Co mi tam będziesz mówić, moja droga, wiem przecież dobrze, że jesteś Stefa, żona Juliana”.

Babcia Stefania mieszkała z nami przez całe moje dzieciństwo. Miała daleko posuniętą sklerozę i opowiadała wciąż te same historyjki, które zresztą bardzo lubiłam. Odkąd ją pamiętam, była zupełnie siwa, nie miała zębów i zawsze wychodziła na ulicę w czarnym welonie. Lubiała chodzić w sobotę na śluby do kościoła św. Jakuba i wracała przejęta i wzruszona. Na fortepianie, który stał w jej pokoju, grała niezmiennie „Hej, kto Polak na bagnety”, a także „Wszystko będzie znakomicie, gdy panowie, szlachta, kler na szafocie skończą życie, lud obejmie rządów ster”. Poza tym była w tym czasie bardzo religijna. Przy łóżku miała nieodmiennie trzy książki: modlitewnik Dunina, *Pastorałki* Kraszewskiego i *Słówka* Boya. Czytała je na zmianę. Pragnęła dożyć końca wojny i zobaczyć „naszych chłopców”. Przed samym Powstaniem, w końcu lipca 1944, została sparaliżowana. Doniesiona przez nas cudem na Zieleniak leżała na ziemi w palącym